

Urodziłem się w 1916 roku w Łucku, na Wołyniu, z Rodziców Polaków, katolików, Antoniny ze Stefanowiczów i Franciszka Zawilskich. Dzieciństwo i młodość spędziłem na "Kresach", tam bowiem Rodzice posiadali duże, dobrze rozwijające się gospodarstwo. Rodzina była duża, Rodzice, 4 synów i 3 córki. Ojciec mój, były uczestnik I Wojny Światowej i jeńiec obozów niemieckich, nam dzieciom, od najmłodszych lat wpajał miłość do Ojczyzny, synom obowiązek żołnierza - Polaka. Był ogromnie zaangażowanym działaczem polonijnym na naszym terenie i wielkim patriotą. Położył duże zasługi w budowie szkół polskich i kościołów katolickich.

W 1939 roku byłem właśnie po służbie wojskowej i poszukiwałem pracy i równocześnie zamierzałem uzupełniać własną edukację. Marzyły mi się studia rolnicze w Poznaniu. Lecz niestety pozostały one w sferze marzeń. Rankiem 15 sierpnia otrzymałem kartę powołania do pułku, w którym odbywałem służbę wojskową t.j. do 13-go pułku, 3 dywizji, stacjonującego w Łucku. Formowanie pułku odbywało się w bardzo szybkim tempie. Już 20-go sierpnia pułk nasz skierowano na granicę niemiecką i usytuowano w okolicy Bydgoszczy. Jeszcze trwało obsadzanie stanowisk kiedy przyszedł rozkaz "przerzucenia" pułku w kierunku Kolutek, gdzie obsadzano linie obronne. Samo miasto i dworzec kolejowy, który był ważnym węzłem komunikacyjnym były już zburzone przez niemieckie bombowce. 6 września miały miejsce ciężkie walki pod Tomaszowem Mazowieckim, podczas których 13 dywizja poniosła ciężkie straty w ludziach i sprzęcie. Było to moje pierwsze zetknięcie się oko w oko z nieprzyjacielem, z okrutnymi skutkami wojny i bezpośrednio bitwy. Dywizja była rozbita, zabitych i rannych mnóstwo, dowództwo wzięte do niewoli, a wśród ocalałych odziało chaos nie do opisania. Z niewielką grupą żołnierzy znalazłem się nad brzegiem Wisły i mimo ciężkiego, nieprzyjacielskiego ostrzału postanowiliśmy wraz z koniami przepłynąć się na przeciwległy brzeg, a następnie udać się do macierzystego pułku w Łucku. Zanim zbliżyliśmy się do urwistego brzegu gniazdo niemieckich karabinów maszynowych ujęło nas na cel, tak że szybko zeskokczyliśmy z koni puszczając je luzem, a sami schroniliśmy się pod skarpą urwistego brzegu Wisły. Przetrawiliśmy tam kilkanaście godzin, gdy ratunek sam do nas przyszedł.

Z przeciwległego brzegu rzeki, na wiosłowej łódce podpłynął mały chłopiec, który, wśród rozbitego, porzuconego sprzętu chciał wybrać dla siebie rower. Zaczajeni w krzakach wynużyliśmy się w ostatniej chwili, a kiedy chłopak załadował do łódki dwa rowery wskoczyliśmy do niej szybko, jeszcze szybciej przebierając wiosłami. W połowie nurtu Wisły Niemcy nas dostrzegli i puścili kilka serii z karabinu maszynowego, na szczęście nie celnych. W drodze do Łucka przeżyłem straszne naloty niemieckie, piekło ognia, ogień karabinów maszynowych ostrzeliwujących ludność cywilną, rozbite pociągi i płonące wsie, dla których nie było już ratunku.

Gdy dotarłem do Łucka znajdowały się tam już wojska sowieckie i zabierały do niewoli resztki rozbitych oddziałów polskich, tak, że więzienia w Równem, Łucku i Włodzimierzu były przepełnione. We Włodzimierzu właśnie sowieci zagarnęli tysiące polskich oficerów i policji, których potem bestialsko zamordowali w Katyniu i innych miejscach na terenie Rosji. Sam cudem uniknąłem śmierci która spotkała wielu Członków mojej Rodziny. Uprzedzony o mającym nastąpić, pod osłoną nocy aresztowaniu, uciekłem z domu z chlebakiem w ręku, przyłączyłem się do grupy cywilnych uciekinierów i szczęśliwie dotarłem do Kielc.

Ochłonawszy nieco postanowiłem połączyć się z moimi Braćmi, aby wspólnie udać się do Armii Polskiej we Francji. Nie wiedziałem wówczas, że starszy mój Brat Apoloniusz został ciężko ranny pod Modlinem i przebywa w jednym z warszawskich szpitali. Po otrzymaniu tej smutnej wiadomości, postanowiłem przekroczyć granicę z Rumunią w okolicy Zaleszczyk, ale przedtym raz jeszcze wstąpić do domu i zabrać z sobą młodszego Brata. Okazało się później, że On czmychnął z domu, tuż przed "łapanką" polskiej młodzieży i był już wtedy w drodze do Francji. Mnie natomiast plan dotarcia do organizującej się na Zachodzie Armii Polskiej nie powiódł się, bowiem podczas przekraczania granicy na Bugu w Jagodzinie, w dniu 8 grudnia zostałem aresztowany przez NKWD. "Oswobodziciele" nie zwracali uwagi na nic, wygarniali ludzi z przybyłego pociągu i z miejsca, pod eskortą pędzili do pobliskiej szkoły, mnie natomiast z kilkoma młodymi ludźmi ulokowali w wypalonym autobusie, gdzie siedziało już kilkadziesiąt mężczyzn. Stłoczyli nas tam

jak sardynki, mogliśmy jedynie stać lub opierać się o siebie, co miało tylko tę dobrą stronę, że emanujące z nas ciepło pozwoliło przetrwać w tym stanie ponad dwie doby. A choć był to początek grudnia dopiero, mróz był duży, rzeka Bug ścięta lodem i wiatr hulał na polach okrutnie. Trzeciego dnia NKWD zaprowadziło nas do budynku szkolnego, gdzie przebywały setki ludzi. Tam dostaliśmy "kipiatok", rozprostowaliśmy nieco kości i po kilku godzinach popędzili nas na stację kolejową, do rzekomego wypuszczenia na wolność. Tam znów pod ścisłą eskortą staliśmy wiele godzin na mrozie, gdy tymczasem NKWD sprawdzało w dokumentach miejsce urodzenia i zamieszkania. Miałem już wydaną w Kielcach "Kennkartę", ludziem się więc, że skierują mnie na stronę zachodnią. W wywiadzie podałem się za nieśłużącego w wojsku pracownika magistrackiego w Kielcach. Niestety nie miało to wpływu na decyzję NKWD, które zabrało nasze bagaże na wozy, a nas ustawiło w czwórki i zaprowadziło na perony. Z miejsca zagrozili nam "szach w lewo szach w prawo budyń strelać bez uprzedzenia". "Stupaj w pierot..!" i z tym gromkim rozkazem ładowali nas do wagonów osobowych, które wypełnione były mrowiem ludzkim po same brzegi. Trwało to dosyć długo od rana bowiem do zmierzchu, poczym skierowano pociąg do Kowla, na której to stacji dzięki ciemnościom wielu ludziom udało się uciec.

Ja, niedoświadczony, naiwny, młody człowiek uwierzyłem w ich obietnicę zwolnienia nas w Jarosławiu, co było nieprawdą. I tak zamiast na zachód pociąg pojechał na wschód i zatrzymał się we Włodzimierzu. Zima tamtego roku była bardzo sroga, mróz z dnia na dzień stawał się większy / dochodził do 35 stopni /, a zaspy śniegu po same dachy otulały wiejskie domy. Jakikolwiek zamiar ucieczki był z tego powodu niemożliwy. Mróz nie pozwolił przetrwać w polu dłużej niż kilka godzin, na schronienie we wsi trudno było liczyć, bo tam szalały bandy Ukraińców, a najgorsze chyba były sforykordony psów, które nie pozwalały na oddalenie się od pociągu. Te przekłete bestie w naszych oczach rozszarpały zuchwalców na strzępy. Sytuacja była beznadziejna, nikt z nas nie wiedział co dalej z nami zrobią zaś nadzieja na wypuszczenie zmalała do zera. We Włodzimierzu pociąg rozładowano i pod ścisłą eskortą NKWD skierowano nas do żydowskiej bóżnicy, gdzie znów stłoczono ludzi jak sardynki. Tam, od kilku tygodni przebywało kilkaset osób. Niemcy, zawsze, wygłodzeni wrogo patrzyli na nas nowoprzybytych.

Następnego dnia pojawił się jakiś "kamandir" i zapytał: "Kto żdzieś powar"? Bez namysłu zgłosiłem się, przede wszystkim z chęci zaczerpnięcia świeżego powietrza i zorganizowania ucieczki w dobrze znanych sobie stronach. Niestety, wkrótce przekonałem się, że jest to niemożliwe, ponieważ mogłem się tam poruszać tylko pod eskortą. Warunki w bóżnicy były straszne. Brak wody do mycia i picia, brak jakichkolwiek urządzeń sanitarnych stworzyły atmosferę nie do wytrzymania. Wszelkie robactwo, a zwłaszcza wszy nie dały chwili spokoju. W przyptływie wisielczego humoru, na parapetach okiennych urządziłem wyścigi wszów, wygrywając od siebie papierosy lub kostki cukru. Karmiono nas tam zupą, którą ja pod opieką strażnika gotowałem na polowej kuchni, dawano 1 chleb na 16 osób, a kostkę cukru przydzielano na 4 osoby. W bóżnicy przebywali sami mężczyźni, natomiast kobiety i dzieci umieszczone były w pobliżu w miejskim areszcie. Taki sam przydział żywności, pod opieką strażnika zanosilem dla kobiet, z którymi niezwłocznie nawiązałem kontakt dla otrzymywania wiadomości "ze świata", wymiany miejscowych informacji oraz zdobywania papierosów i tytoniu. Najwięcej wiadomości przekazywała mi niejaka Pani B - cka, której mąż siedział z nami w bóżnicy. Podtrzymywała Jego na duchu, a sama pieściła nawleczone na sznureczku guziki od Jego munduru, jak drogocenną pamiątkę. Na marginesie dodam, że ciekawie ułożyły się losy, tej ówczesnie ogromnie kochającej się pary małżeńskiej. Już na Srodkowym Wschodzie spotkałem Pana B - go w stopniu starszego sierżanta, a wkrótce potem Jego była żoną jako Panią majorową X..... W przyptływie szczerości opowiedział mi Pan B - ki swoje perypetie od Włodzimierza - do naszego spotkania, z największym jednak żalem opisał rozstanie i "spotkanie" z żoną, która będąc już u boku innego mężczyzny, nie przyznała się do "znajomości" ze swoim mężem.....

W bóżnicy największą grupę stanowili Żydzi, drugą co do wielkości Ukraińcy z Besarabii oraz Ukraińcy miejscowi, a najmniejszą byliśmy my Polacy. Sprzeczki, kłótnie, bójki miały miejsce codziennie. Żydzi i Ukraińcy żywili ogromną nienawiść do nas Polaków, za to, że znaleźli się w tych strasznych warunkach. W większości byli to ludzie bardzo bogaci: przemysłowcy z Warszawy, Łodzi, Poznania i wielu innych miast, mnóstwo lekarzy, adwokatów, urzędników i duża grupa kolejarzy.

Lęk o własne " jutro ", brak informacji co dalszych losów aresztowanych, zagubionych, rozdzielonych rodzin, głód, brud i robactwo powodowały skrajne załamania psychiczne, choroby i śmierć. Tam trzeba było walczyć również z sobą samym. Jedyne ustępy znajdujący się na zewnątrz był używany bez przerwy. Każdy udawał się do niego pod opieką strażnika, a ten będąc prawie bez przerwy na mrozie, popędzał biedaków kłując bagnetem w pośladki i krzyczał " nażymaj " . Tak więc i te czynności trzeba było spełniać niejako " na rozkaz ". Przez cały dzień przychodziło NKWD i niektórych aresztantów zabierali lub innych przyprowadzali. Każdy " nowy " witany był z ciekawością, zarzucany pytaniami " co się dzieje na świecie ", a on wiedział tyle samo co i my siedzący w bóżnicy. Wśród naszej polskiej grupy, byli Polacy z Ameryki, Francji i innych krajów Europy, komuniści lub ich sympatycy. Często mówili między sobą obcym językiem, dla zachowania swoich tajemnic, domagali się lepszego traktowania, a w cisłości ducha większość z nich liczyła na łaskę Stalina i przydział stanowisk we władzach komunistycznych, natomiast Ukraińcy z Besarabii na otrzymanie ziemi z parcelacji polskich majątków. Niestety traktowani byli oni na równi ze wszystkimi aresztantami. W niedługim czasie potworzyły się grupy dyskusyjne na tematy polityczne, gospodarcze i inne naukowe, oraz grupy nauki języków obcych. Po dwóch miesiącach siedzenia w bóżnicy ludzie wyglądali jak dzicy, głód, brud i robactwo zabijał nawet najsilniejsze jednostki. Ja, pełniąc funkcję kucharza byłem w lepszej sytuacji o tyle, że mogłem oddychać świeżym, mroźnym powietrzem. Na początku 1940 roku NKWD zaczęło zabierać nas do więzienia, gdzie na wstępie odbywała się kąpiel, strzyżenie i dezynfekcja ubrań, a potem sprawdzanie nazwisk - dokumentów i przydział do cel więziennych. Zabrzmiało to nieprawdopodobnie, ale ogarnęła mnie wielka radość gdy ujrzałem tam sienniki ze słomą i sam czysty, bez insektów, mogłem spokojnie przespać kilka nocnych godzin. A gdy następnego dnia otrzymaliśmy więzienną zupę i po 600 gr. chleba na osobę nazwałem to " niebywałą ucztą ". W więzieniu spotkałem naszego Księdza z Parafii Boremla, tego, który przed wyjściem do wojska nie chciał mi dać rozgrzeszenia..... Był bardzo biedny, torturowany i chory. Po kilku dniach zabrano Jęgo z celi i już nigdy Jęgo nie spotkałem. Ogólnie było wiadomo, że właśnie księży NKWD likwidowało w pierwszej kolejności. Drugim spotkanym w więzieniu we Włodzimierzu był mjr. T. Turczyn rejonowy inspektor koni na okręg Łucki..

W czasie wkraczania wojsk sowieckich do Włodzimierza był On polskim przedstawicielem do rokowań o warunkach kapitulacji. Mimo przyrzeczeń ze stron sowieckiej iż nie będzie aresztowany, znalazł się wśród nas aresztowanych. Był dobrym znajomym moich Rodziców i bywał u nas w domu. W warunkach więziennych zachował swoją godność i pogodę ducha, którą podtrzymywał na duchu wielu słabszych od siebie, a moje spotkanie z Nim miało szczególne znaczenie. Niestety, nigdy więcej Jego nie spotkałem. W więzieniu we Włodzimierzu, jak i we wszystkich następnych, z uwagi na biegłą znajomość języka rosyjskiego, byłem tłumaczem dla wszystkich towarzyszy niedoli, którzy tej pomocy potrzebowali.

Pobyty w więzieniu we Włodzimierzu trwał kilka tygodni, poczym coraz częściej zjawiał się " czornyj woron " i zabierał kolejno grupy ludzi, które dowożono do stacji, a następnie ładowano do wagonów towarowych. W jednym transporcie skierowanym do Łucka znalazłem się i ja, poczym stłoczono nas w jednej celi ok. 100 osób. I znowu w większości byli to Żydzi, Ukraińcy, Ukraińcy lokalni i wiele innych narodowości. Najmniej było nas Polaków, toteż współżycie z pozostałymi nie było łatwe. Byli wciąż wrogo do nas ustosunkowani, a najtrudniejsze było współżycie z Żydami, którzy za wszelkie swoje krzywdy obwiniali nas Polaków. Więzienie w Łucku miało okna wychodzące na podwórze moich dobrych znajomych Państwa Żmijewskich. Widywałem Ich często, lecz nawiązanie kontaktu dla zdobycia informacji o mojej Rodzinie lub przekazanie wiadomości o moim losie było nie możliwe. Więzienne racje żywnościowe okradane były przez strażników więzienia, tak więc zupa to było trochę ciepłej osolonej wody, a 2 kg. bochenek chleba dzielony był na 16 porcji. Cukru już nam nie dawano. Na skargę można było iść do Boga, który wtedy " nie miał dla nas czasu ". A do karceru można było " iść " za łada skargę. Po 2-tygodniach wymęczenia i wygłodzenia nas, po badaniach lekarskich załadowano nas do autobusów i przewieziono na stację kolejową w Łucku. Od lekarza dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Winnicy na Ukrainie sowieckiej. Przedtym wydano nam nasze osobiste przedmioty i wpakowano nas do polskich wagonów towarowych. Znałem trasę przejazdu i okolice dość dobrze, miałem wiele znajomych i przyjaciół w Łucku, uznałem więc sytuację za najbardziej korzystną do zorganizowania ucieczki. Zima 1940 roku była bardzo mroźna i śnieżna, jak i rzadko ludzie pamiętają, ale właśnie bardzo grubą pokrywą śniegu dawała nadsięję zabezpieczenia

przed roz biciem. W wagonach było zimno okrutne. Tuliliśmy się do siebie, aby wzajemnie nieco ogrzać, a tymczasem strażnicy formowali skład wagonów do odjazdu. Korabon " opiekunów " z psami otaczał cały peron. W międzyczasie ja i moi dwaj przyjaciele omawialiśmy plan ucieczki na tej trasie, który nie był skomplikowany. Wyciętą w ścianie wagonu dziurę, która służyła za ubikację, należało powiększyć tak żeby człowiek mógł się przez nią przecisnąć. Udało się to, ale nas dwóch "silnych" potrzeba było do wyłamania desek. " Kuracja odchudzająca " zastosowana przez NKWD zrobiła z nas słabszy niestety. Ucieczka miała nastąpić pomiędzy Łuckiem a Kiewcami. By za wszelką cenę uciec z transportu poświęciłem wszystkie swoje rzeczy. Mój towarzysz niedoli, a kandydat do ucieczki Pan M. Wawrzyczak był już w niewoli sowieckiej, zabrany do niewoli po kampanii wrześniowej, z której udało się Jemu zbiec. Przy przekraczaniu granicy na Bugu został ponownie zatrzymany, toteż Jego zapas do ucieczki był tym większy. Komendantem wagonu wyznaczono żyda nazwiskiem B - sztejn, fabrykanta z miasta Łodzi, który przedstawiał się jako zażarty komunista i miał niestety " słoniowe uszy " służące do podsłuchiwania wszelkich rozmów. Trzymaliśmy się od niego z dala, instynktownie jakgdyby czuliśmy jego szczególną wrogość do nas młodych, bystrych i znających dobrze język rosyjski. Do mnie miał szczególną awersję, ponieważ ja byłem dla niego tłumaczem, który w jego mniemaniu powinien " dla Niego " załatwić wszystkie sprawy pozytywnie, co oczywiście nie zawsze się udawało. Po nabraniu szybkości pociągu jako pierwszy wysunąłem głowę aby dalej prześlizgnąć się przez otwór, ale wtedy napotkałem dwa skrzyżowane bagnety zamykające drogę do wolności. Komendant wagonu narobił krzyku wzywając pomocy strażników, a czerwona rakietka wystrzelona w górę na znak alarmu zatrzymała pociąg. Na skutek powstałego hałasu wagon nasz został otoczony kordonem karabinów maszynowych i sforą psów. Po otwarciu wagonu oficer eskorty NKWD zapytał " kto wyłamał drzwi "? Komendant nie znając języka rosyjskiego pokazywał na nas trzech i wrzeszczał " to one towarisz, to one towarisz ", wskazując na nas trzech. Wtedy ja wystąpiłem i wystawiając się poprawnie po rosyjsku wyjaśniłem, że zbudowane nad piecem przyce zwały się i w ten sposób powiększyły dziurę w drzwiach. NKWD nigdy nikomu nie wierzy, czy ktoś mówi prawdę czy też nie, toteż oficer NKWD nie dał wiary mojemu wyjaśnieniu, a że już wtedy wrzeszczał, pokazując na nas " to one ", zniecierpliwiony tym krzykiem ryknął jego w mordę i zaklął " ty jobanyj wrot jarej

czto ty tam bałtajesz sukinsyn " ? A ja mimo ogromnego naprężenia i lęku wybuchnąłem wisielczym śmiechem, tak ogromnie, że cały wagon zawtórował mi. W jednej chwili powstał humor i konsternacja, lecz oficer NKWD natychmiast przywołał nas do porządku, przeliczył wszystkich w wagonie, dziurę zabito deskami i pociąg ruszył w kierunku Lwowa. Jak się później okazało wszystkie wagony w tym transporcie były strzeżone po czterech wartowników, t.zn., że na każdym narożniku wagonu stał jeden strażnik, a wagony połączone były deskami, po których strażnicy mogli się poruszać..

Trasa pociągu przebiegała przez moje rodzinne strony i znane mi stacje kolejowe i miejscowości. Niestety nie udało mi się nikogo dostrzec, ani powiadomić że jestem w tym aresztanckim konwoju. Podczas postoju we Lwowie, na bocznicę widziałem ładowanie ludności polskiej składającej się z rodzin. Separowano przede wszystkim mężczyzn, a kobiety i dzieci wtłaczane były jak sardynki do towarowych wagonów. Straszne mrozy tamtej zimy spowodowały zamarzanie dzieci u matek na rękach. NKWD nie baczyło na rozpacz i tragedie rodziców, zamrożone ciała niemowląt i starszych dzieci wyrzucało na leżący na poboczu śnieg. Tego straszego widoku nie zapomnę do końca życia, tego sowieckim zbrodniarzom wybaczyć nie wolno.

Mimo moich prawdopodobnych wyjaśnień odnośnie załamania się pryczy, nazwiska nasze zapisano na " czarną listę " NKWD. Nie wiem, czy posiadało ono inne, np. " białą listę " ? . Kiedy dojechaliśmy do Winnicy i prowadzono nas ze stacji do więzienia, dzieci sowieckie obrzucały nas obelgami " Wy pany, burżuje, parazity " i inne obelgi jakie posiada "język sowiecki". Ponieważ przez 2 tygodnie w Łucku, a w podróży już kompletnie nas zagłodzono, przybyliśmy do Winnicy ledwie żywi, wyglądaliśmy jak chodzące szkielety. Po przeliczeniu na dziedzińcu więziennym, oddano naszą grupę naczelnikowi więzienia, lecz nas trzech " winowajców " z tej grupy wyłączone. Moi dwaj współnicy ucieczki zatrwożyli się, " co dalej z nami zrobią " ? . Cóż ja mogłem wiedzieć i odpowiedzieć ? . Roześmiałem się nawet i z humorem odrzekłem " pewnie pójdziemy pod ścienku" Oni wybuchnęli płaczem jak dzieci, a mnie, wskutek wyczerpania było tak " wszystko jedno ", że dalej śmiałem się " wariackim śmiechem " . Komendant, na badanie wezwał tylko mnie, chyba dlatego, że ja mówiłem po rosyjsku i zażądał wyjaśnienia " co się stało w tym wagonie " ? . Opowie-

działem Jemu tę samą historię, którą zrecjanowałem dla komendanta transportu. Po wysłuchaniu zeznania powiedział On " charaszo " ! Dał mi paczkę papierosów " Bieło mor kanał " i nawet paczkę zapalek, a potem dał rozkaz strażnikowi odprowadzenia nas do tej samej grupy, która była już ulokowana w celi. Na nasz widok grupa polska gruchnęła " hurra, Zawilski wrócił do nas " ! A kiedy opowiedziałem jak szarmancki był oficer śledczy i rozczęstowałem podarowane mi przez niego papierosy, przybyło natychmiast wielu " przyjaciół " . Nawet poprzedni komendant grupy Pan B - sztejn stał się dla mnie bardzo grzeczny i uprzejmy. Następnego dnia zostałem wyznaczony komendantem celi. Wszyscy byliśmy wycieńczeni i bez siły, toteż zbawienne były dla nas przydzielone przez naczelnika więzienia większe porcje chleba i tręściwej żupy, czasami nawet z mięsem. Okazało się, że wśród pracowników więzienia było dużo rosyjskich Polaków poczynając od naczelnika więzienia. Dlatego okazywali zainteresowanie naszym losem i pomagali wszędzie tam gdzie mogli. Dobrodziejstwem dla ^{nas} był przydział papierosów, po 200 szt. miesięcznie na osobę. Po upływie miesiąca wygląd nasz zmienił się ogromnie na korzyść, a i nastrojowo czuliśmy się o tyle lepiej, że mniej razita nas ciągle śpiewana " katusza " .

Obawa o moich Braci wciąż gościła w moich myślach. Najbardziej obawiałem się o młodszego imieniem Karol, który, jak się później okazało w wieku lat 16, t.zn. jesienią 1939 uciekł z domu i dostał się do Armii Polskiej na Zachodzie. Nie miałem również wiadomości o mojej Rodzinie, która przecież mieszkała tak niedaleko, ani też o Rodzinie zastępczej w Kielcach. Pewnie przypuszczali, że dostałem się do Armii Polskiej we Francji, gdy ja tymczasem miałem aż nadto " troskliwą opiekę " i zapewnione "mieszkanie i utrzymanie " .

Życie więzienne w Winnicy było dość regularne, warunki sanitarne znośne, współżycie z towarzyszami niedoli układało się poprawnie. W maju 1940 roku zaczęły się przesłuchania, które w moim przypadku odbywały się zawsze w nocy i trwały kilka do kilkunastu godzin. "Czarny woron " podjeżdżał do więzienia i zabierał nas po kilku, umieszczając każdego w osobnej klatce, w której nie można było usieść ani stać. Powracający z katowni byli pobici, zakrwawieni, zmaltretowani. Mnie nigdy nie uderzono, chociaż wciąż grożono mi i prowokowano zostawianą pod ręką bronią. Zawsze odpowiadałem spokojnie jedną i tą samą wersję wykutą

na pamięć, tak że z czasem zacząłem sam w nią wierzyć. Zeznawałem zawsze w języku rosyjskim. Podczas przesłuchań oskarżany i badany byłem o współpracę z wywiadem niemieckim, angielskim o chęć wywołania kontrrewolucji. Po zakończeniu śledztwa odmówiłem podpisania zeznań, ponieważ wpisano mi " bywszy polskij grażdaniin ". Ja natomiast oświadczyłem, że nie jestem " bywszy ", ale że byłem i jestem obywatelem polskim. i dopóki nie zmienią " bywszy " zeznań nie podpiszę. Zeznania zostały przepisane i wtedy ja zgodziłem się je podpisać. Dla nich nie miało to znaczenia, ponieważ i tak czekał mnie surowy wyrok. Dla mnie była to sprawa godności i ambicji Polaka.

Pod koniec maja 1940 roku wszystkich Polaków odseparowano od innych narodowości i przeniesiono do pojedynczych cel w suterenach, po 16 osób w każdej. Ciasnota była straszna, każde poruszenie odbywało się na komendę. Traktowanie nas oraz racje żywnościowe bardzo się pogorszyły. Krążyły różne przypuszczenia, ale prawdziwych przyczyn nikt nie znał. Zabrano nam nawet przydział papierosów, toteż zdobyliśmy je dzięki wymianie. Pewnego dnia podczas wymiany zostałem schwytany przez strażnika " na gorącym uczynku " i ukarany za to 5-cio dniowym karcerem. Samotna cela zalana była wodą po kostki, a ja byłem w cienkiej koszuli i lekkich pantoflach, bez skarpetek. Jedyną wyposażenie celi to dwie cementowe, wilgotne prycze, na których gnieździło się mrowie szczurów. Aby nie zamarznąć skakałem z jednej na drugą i byłem bliski wyczerpania, gdy zjawił się strażnik z pryczą drewnianą, na której w cienkim ubraniu i bez okrycia w czasie snu byłbym zamarzał, gdyby nie przeraźliwe krzyki, jakie rozlegały się na korytarzu i w innych celach. Okazało się, że to strażnicy zabawiali się z więźniarkami, które broniły się rozpaczliwie i prosiły o zaniechanie gwałtu. Natomiast mężczyźni bito i katowano nie zważając na krzyki, ból i powolne konanie. W tej nieludzkiej kazi, w tej rzeźni krew płynęła strumieniem. Błaganie i modlitwy do Boga były daremne, tam Boga nie było..... W karcerze miałem 300 gr chleba i kubek czystej wody dziennie. Raz na dzień wypuszczano mnie do " obornej ", więcej razy musiałem to robić w celi. Po 3-ich dniach pobytu w karcerze strażnik otworzył drzwi celi i kazał mi stanąć " poś scienku ". Kątem oka ujrzałem zbliżającą się bandę wyrostków, młodocianych złodziei, dla których strażnicy szukali miejsca w karcerze. Dzięki tej potrzebie zostałem wypuszczony 2 dni wcześniej i

odstawiony do mojej celi, która wydała mi się rajem, tam bowiem dawano miskę gorącej zupy i miałem upragnione papierosy. Wtedy dowiedziałem się od Kolegów, że Niemcy wkroczyli do Paryża i Francja skapitulowała.

Czerwiec był miesiącem dziwnego naprężenia i ponownej naszej przeprowadzki z odseparowanych małych cel do znacznie wygodniejszych, gdzie były nieco większe grupy. Tak się dobrze złożyło że i w mojej celi i w pobliżu były grupy inteligenckie, gros więźniów stanowili mieszkańcy Lwowa. Nie było zadrażeń i awantur, ludzie szybko zorganizowali sobie czas w sposób pożyteczny. Arcy ciekawi ludzie naukowcy i pedagodzy organizowali różnego rodzaju pogadanki, naukę języków obcych, a jako rozrywkę turnieje szachowe, w których bardzo chętnie brałem udział. Mając za partnerów mistrzów gry w szachy, które zrobione były z chleba, nie miałem szans na wygranie z nimi, ale byłem dumny, że mam okazję zmierzyć się z takimi "asami". Pozatym mogliśmy korzystać z miejscowej biblioteki, w której były różnojęzyczne książki, oczywiście treści propagandowej. Między innymi spotkałem tam książki w języku hebrajskim, którym się zainteresowałem i nauczyłem^{się} alfabetu, a następnie czytania w tymże języku.

Po kilku tygodniach rozeszły się pogłoski o mającej nastąpić "wywóźce", z uwagi na przepelnienie więzienia, oraz dlatego, że naczelnik więzienia trzymał nas za długo. Po cichu szeptano, że ponieważ był z pochodzenia Polakiem, chciał nas trochę odkarmić.

Nie czekaliśmy długo na spełnienie tych pogłosek. Wkrótce NKWD kolejno zabierało nas do "kantory", gdzie za biurkiem siedziało 3 opryszków i czekało na "ofiara", aby wysłać jego tam gdzie biały niedźwiedź nie zasypia. Przedtym, każdemu z nas odczytywano wyrok skazujący na 3, 5, 8 lat "isprawitelnych lagierej NKWD", a gdy ktoś protestował to jeden z nich powiadał: "Nu da ty że niczewo nie zdiełał, nu ty że padumał zdiełać...". I wtedy przyszła mi na myśl lekcja religii, kiedy to Ksiądz Dobrodziej powiadał, że grzeszymy: "myślą, mową i uczynkiem", no i ponieważ Stalin studiował teologię to tę prawdę zastosował w praktyce. Wkrótce przyszła kolej i na mnie. Wezwali mnie przed ten wysoki majestat, kazali stanąć "na bacność" i jeden z sędziów zaczął odczytywać następujący wyrok:

" Osobowoje sowieckoje Sowiszczania zasudiło Czesława Francewicza Zawilskiego na 8 lat isprawitelnych trudowych lagierej NKWD ".
 Nic sobie z tego nie robiłem, tylko zaśmiałem się jakimś pustym śmiechem. Wtedy jeden z sędziów zapytał mnie ze zdziwieniem,
 " czy ja mam coś do powiedzenia " ?. Odpowiedziałm jemu, że właściwie nic specjalnego " jedynie jestem zdziwiony, że dajecie mi tak mało, bo za moje przewinienie spodziewałem się przynajmie 25 lat Syberii ". On na to odpowiedział mi " ubyżspakoju my tибie dobawim jesli nużno budiet... ".

Już po wyroku kierowano nas do innych celi, gdzie dawano nam 100 gr chleba więcej / razem 700gr / i nieco lepsze jedzenie. Okazało się że większość towarzyszy niedoli otrzymała wyroki 3 i 5 lat, a tylko ja jeden " zafasowałem " 8. Poniektórzy serdecznie mi współczuli, na co ja im odpowiadałem, że moim zdaniem niema znaczenia ile każdy z nas dostał, ponieważ jeśli Niemcy uderzą na Sowiety to nas muszą wypuścić. A to, że uderzą zapamiętałem z domu, kiedy to mój Sąsiad stary Wołoszyn powiedział, gdy Rosjanie wkroczyli do Polski w 1939 roku. Powiedział to po ukraińsku " To dopire zaryczyny, a wesila bude potam....". Nie wielu mieszkańców naszej kolonii zdawało sobie sprawę z Jego poczynań, a On to właśnie był szefem okręgowym rejonu z ramienia nacjonalistów Ukraińców, którzy współpracowali z Niemcami i On napewno był zaznajomiony z późniejszymi zamiarami Hitlera. Wówczas, kiedy to mówił, traktowałem to raczej jak " wróżbę z ręki ", potym zaś w więzieniu ewentualne spełnienie się jej mogło być dla nas Polaków wybawieniem. W beznadziejnych warunkach więziennych czepiałem się często tej przepowiedni, z czasem zacząłem w nią sam wierzyć i powtarzać moim towarzyszom, dla pocieszenia ich. W tamtym oddziale więzienia spotkałem Księdza Kardynała Rubina, który nie był jeszcze Kardynałem i wogóle nie ujawniał swej roli duchownego. Był jeszcze dość młodym człowiekiem, chodził w więziennym ubraniu i wyglądał jak jeden z nas. Dzięki temu " uchwalił się ", od lat zamieszkuje w Rzymie i w dostojności kardynalskiej obecnie dożywa sędziwego wieku.

Nie długo " cieszyliśmy się " znośnym wyżywieniem i przyjacielską atmosferą jaka panowała w celi. Po kilku tygodniach zaczęto wywozić nas na stację kolejową w Winnicy i ładować do wagonów o nazwie

" stołypinki ", które z zewnątrz wyglądają ładnie, mają nawet firanki w oknach, a wewnątrz to są przedziały z 3-ma półkami, na które ładowano po 4 ludzi, czyli po 12 osób w przedziale. Zamiast normalnych drzwi było okratowanie tak, że " nadzieratel " mógł widzieć w wagonie wszystkich bez poruszania się. Po kilkunastu godzinach dojechaliśmy do Kijowa, gdzie nas wyładowano i zaprowadzono ponownie do więzienia. Podczas marszu przez miasto miejscowa ludność opluwała nas i wygrażała nam rękami wykrzykując " polskiji pany, parasites ". W więzieniu w Kijowie już nie było tak wielkiego nadzoru, ponieważ wszyscy byliśmy " po wyrokach ", za to mieszano nas z " wsiakąją swołoczą ", jaka była na tej ziemi pod sowieckim słońcem. Żywności było dość dużo, nawet nie żałowano nam dokładek.

Już w poprzednim więzieniu w Winnicy okazało się, że nasz B - sztejn dla zaskarżenia sobie zaufania strażników nie tylko na głos oskarżał ciągle Polaków, ale wszędzie gdzie mógł więźniów podsłuchiwał i był pierwszym donosicielem, czego i Rosjanie także nie lubili. To też zdarzyło się, że po wykorzystaniu jego usług wtrętili jego pomiędzy bandytów, którzy szybko go wykończyli. Miało to miejsce już w Charkowie, dokąd przywieziono nas z Kijowa. W tym transporcie byłem skuty kajdanami z rękoma wykręconymi do tyłu, pewnie NKWD obawiało się powtórzenia próby ucieczki. Piekielne amerykańskie kajdanki zaryły mi się w przegubach rąk tak dotkliwie, że czuję je jeszcze do dzisiaj na swoich rękach. Byłem okrutnie obolały i tak wściekły, że byłbym zamordował komendanta transportu, ale ten, niestety, nie pokazał się, a przysłał jakiegoś podoficera do zdjęcia kajdan. Po opuszczeniu pociągu NKWD oddało nam nasze walizki. Niewielki już " skarbów " miał każdy z nas, ale dla mnie spora ilość żyłek miała wielką wartość. Po przybyciu do więzienia ja i moi Koledzy pogoliliśmy się jedną żyłką, a następną wykorzystaliśmy do golenia Rosjan, którzy za moją przysługę dawali mi tytoń, a nazbierałem jego tak dużo / prawie cały worek /, że mogłem podzielić się z innymi palaczami. Dzięki temu miałem odrazu dużo więcej " przyjaciół ". W tym ogromnym więzieniu było tysiące ludzi, słyszało się najrozmaitsze języki, istna " Wieża Babel ", ale jedynym językiem jakim można się było porozumiewać był język rosyjski. Byłem w tym " szczęśliwym położeniu ", że znałem biegle język rosyjski, toteż często pełniłem rolę tłumacza i pewnie dlatego też obdarzano mnie różnymi funkcjami.

Więźniowie po wyrokach chcieli najszybciej znaleźć się w obozach pracy, aby skrócić czas "odsiadki", a nawięcej hałasu robili żydzi, zawodząc wyjącoymi głosami "towariszcz my chcemy rabotać, na co "nadzeriatel" odpowiadał "ja tibi że nie towariszcz ty jebanyj wrot, bielyj miedwiedz budiet tibi towariszcz i tam że i ty pamriesz sukinsyn...". Tak wyglądały rozmowy między strażnikami i więźniami. W więzieniu w Charkowie nie zabraniano nam spotykać się i rozmawiać na podwórku, toteż korzystaliśmy z tego przy każdej okazji, a toczyły się one przeważnie na temat zagubionych rodzin, oraz na tematy polityczne. Ja np. wciąż martwiłem się o swego młodszego Brata, aby nie znalazł się w takich warunkach jak ja, On natomiast szczęśliwie dotarł do Francji i był w szeregach Armii Polskiej.

Wśród nas przebywał młody człowiek - "młody żonkoś", który dwa tygodnie po ślubie rozstał się ze swoją żoną i poprostu szalał z tęsknoty za nią. Biedny, bezradny często siedział w kącie celi i dawał wyraz tęsknocie w piosence, którą sam skomponował, a którą siłą sytuacji znaliś my wszyscy na pamięć:

Sonia, Sonia byłaś moją żoną,
kochałem Cię ponad życie i nad świat,
a teraz jesteś mi stracona,
ktoś podstępnie szczęście mi twe skradł.

Sonia, Sonia twoje krucze sploty
pieszczę wśród bezsennych chwili,
jak zapomnieć ciebie śnie mój złoty,
różó z nadwołżańskich wzgórz.....

Chwilami doprowadzał nas swym śpiewem do rozpacz, bowiem każdy z nas zostawił bliskich i kochanych, każdy przeżywał rozłąkę, zagubienie czy śmierć, jak to miało miejsce w przypadku dzieci rozdzielonych od rodziców. Matki i ojcowie tułający się niewinnie po więzieniach, a dzieci, które często nie znały ani miejsca urodzenia ani swego nazwiska, przygarnięte przez miejskie, obce przytulki nie miały ich nigdy spotkać lub odszukać. W sowieckich więzieniach takich kobiet było tysiące. Przeżywały one tragedie rodzinne, śmierć czy więzienie mężów, ojców, braci, a przede wszystkim dzieci. Znosiły piekło więziennego życia, zsyłki i pracę ponad

sity w łagrach sowieckiej, z godnością, nadludzką cierpliwością i wytrzymałością, za co polskiej Kobiecie, Żonie i Matce należy się święta pamięć nasza i pomnik chwały.

Po kilku tygodniach zaczęto przygotowywać nas do transportu na "Siewier". Najpierw odbywała się komisja lekarska / parodia nie komisja, ponieważ nikogo nie zostawiono /, a następnie kompletowanie dokumentów z fotografiami, odciskami wszystkich palców obydwu rąk w końcu ładowanie na olbrzymie sowieckie wagony towarowe / 60 tonowe /, po 120 mężczyzn, jak sardynki w pudełku, z niewielką ilością żywności dla każdego. Po kilku dniach transport dotarł do Moskwy, gdzie postawiono nas na bocznicach. Takich pociągów przepelnionych ludźmi stało kilka, również na bocznicach. Wyglądało to tak jakby w tym czasie w Rosji nic innego się nie działo. Dzień i noc szły pod konwojem transporty przepelnione mieszaniną ludzi z wielu krajów Europy Zachodniej, Polski i Krajów Bałtyckich, które niedawno zostały przez Sowietów "oswobodzone". Przez małe okienka, które były po obydwu stronach wagonu niewiele było widać, ani nie można było z nikim porozumieć, ale wiadomo było, że wszyscy byli "zakluczeni" i więzieni są do łagrów w różnych częściach Rosji. Jeden podział był napewno nieomyślny, wszyscy byliśmy podejrzani i niebezpieczni, za co NKWD pastwiło się nad nami bezprzykładnie.

Zima tamtego roku zbliżała się wcześniej, bo oto już we wrześniu, tam w Moskwie było mroźno i chulały wiatry, które nawet w wagonie przeszywały chłodem nasze wynędzniałe, nędznie odziane ciała. Po dołączeniu do naszego transportu kilkunastu wagonów, pociąg ruszył w nieznaną nam drogę. Dniem ukazywał się naszym oczom ten sam widok, który dreszczem grozy wstrząsał, kiedy wieziono nas przez niegdyś żyzne tereny Ukrainy i Białorusi z Winnicy przez Kijów do Charkowa. Masa opustoszałych wsi, gdzie niegdzie zamieszkałych, a wszędzie brud i nieczystość nie do opisania. Zboża wymłócone pozostawione na polach pod opieką strażników gnity i marnowały się, a okoliczna ludność przymierała głodem. Kto ze śmiałków podszedł aby zagarnąć trochę zboża dla siebie został przy tym złapany dostawał 10 lat bez sądu. Tak żyła ludność na wsi rosyjskiej, tak wyglądała zespołowa gospodarka w kołchozach.

Podczas transportu dawano nam chleb i razowiec i " tiulki " / małe solone w beczkach rybki i bardzo mało wody, a czasami przez cały dzień nic. W wagonach, ta straszna mieszanina ludzka była wprost nie do zniesienia. Dla sowieckich strażników uprzywilejowani byli złodzieje, bandyci, prostytutki, którzy czując się " u siebie w domu " znęcali się nad nami i zachowywali w sposób pozbawiony wstydu i jakichkolwiek estetycznych zachowań ludzkich. Byli tak krnąbrni i rozpasani, że sami Rosjanie bali się ich jak " ognia ". Mając kilku dobrze zbudowanych ludzi porozumiałem się z nimi " na migi " i wnet zrobiliśmy porządek, wydzielając jedną połowę wagonu dla Polaków drugą dla Rosjan. Odebraliśmy pokradzione nam i innym zesłańcom pokradzione przez nich ubrania i przedmioty, a znęcający się specjalnie nad Polakami opryszek dostał dobra " Lanie ", które ogromnie poskutkowało.

Po wyruszeniu z Moskwy było coraz bardziej mroźno, a w miarę posuwania się na północ śnieg zaścielał pola puszystą pierzyną. Orientując się w kierunku jazdy spekulowaliśmy , dokąd nas wiozq? Ale nikt z nas, nawet Rosjanie / oczywiście też zesłańcy / nie wiedzieli jakie jest miejsce przeznaczenia dla naszego transportu. Tylko obsługa pociągu i konwojenci wiedzieli gdzie kres naszej podróży. 30 września wjechaliśmy do naszego pierwszego rejonu pobytu, którym był " Archangielskaja Obłast Niandomskoje Oddzielenia NKWD Lagier Jercewo. a miejscem zamieszkania był obóz 232 położony 20km na wschód od Jercewa, do którego zawieziono nas następnego dnia. Z tego olbrzymiego transportu NKWD odliczyło nas 200 Polaków i kilkudziesięciu mężczyzn innych narodowości i zawieziono nas do tego Lag - Punktu 232, wyładowano i oddano na pastwę ludzi, którzy byli tam od początku jego założenia t.j. od 1934 roku. Oni to pierwsi brnęli przez zasy śniegu na miejsce gdzie nie było nic poza znakiem z nr. 232. Oni to, w tej strasznej mroźnej pustce pierwsi klecili baraki dla schronienia przed mrozem i zamiecią. Na mapie Rosji niema w tych miejscach ani dróg, ani tras kolejowych, w rzeczywistości tam jest najgęściej zaludniona okolica w całej Rosji, bo przeciętnie co 5 km znajduje się taki niewinny punkt, w którym mieści się 5 do 10 tysięcy skazańców, pracujących za kawałek chleba. Ludzie siedzieli tam 10 lat i więcej, bez nadziei na wyjście, chociaż ich wyroki dawno się skończyły. Ludzie tam żyli bez kalendarza, zatracali poczucie czasu, życzeli, nierzadko nie mieli do czego czy do kogo wracać, a

tacy, którzy czasem narzekali otrzymywali "dobawkę" do wyroku i dalej siedzieli. A okolica to tylko lasy, nieprzebyte lasy, drogi, koleje i nic więcej. Baraki były liche, ogrzewane tylko drewnem, które najpierw trzeba było wyrąbać w lesie, a chodzić trzeba było po nie w głąb lasu, coraz dalej od obozu. Zima była w pełni i siarczysty mróz dniem i nocą dawał się we znaki, toteż niezwłocznie poszukałem sobie chętnego do wymiany moich eleganckich butów na sowieckie "walonki" i dzięki temu uniknąłem odmrożenia nóg.

Polaków zgromadzono w jednym baraku i po 3 - dniowym odpoczynku, po tej koszarnej podróży, zaczęto organizować brygady robocze. Ja w dokumentach napisane miałem "technik budowlany" więc przydzielono mnie do brygady budowlanej pod kierownictwem znanego polskiego architekta ze Lwowa Pana Zakrzewskiego. W międzyczasie zacząłem zawierać znajomości z przebywającą tam inteligencją rosyjską, która była zainteresowana wiadomościami o Polsce i ogólnie wiadomościami "ze świata". Wielu wyższych rosyjskich oficerów, których tam było bardzo dużo, znało wiele miast polskich, a szczególnie Warszawę z przed I Wojny Światowej. Jednym z wyższych oficerów sowieckich był "lt. gen. Jakimienko" szef sztabu Ukraińskiej Armii, która wkroczyła do Polski 17 września 1939. I ten fakt i to, że Jego Matka była Polką wystarczyły, że stracił zaufanie Stalina i musiał być odizolowany. A kiedy wybuchła wojna z Niemcami lt.gen. Jakimienko natychmiast został zwolniony i otrzymał dowództwo dywizji, a po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że otrzymał awans na marszałka.

Polskie brygady przeważnie były pod opieką złodziei i bandytów, tak więc ci ludzie bez jakichkolwiek uczuć bezlitośnie wykańczali niedołączonych, chorych i unikających pracy. Tam nie było nikogo kto przyszedł by z pomocą, przyjął skargę i to powiedzenie "Boh daleko a car wysoko" było bardzo właściwe, ponieważ Boga z kraju wypędzili, a Stalina posadzili na Jego miejsce.

Mróz dochodził do 40 stopni, chociaż był to dopiero początek października. W lesie praca wrzała codziennie, jedynie w styczniu w lutym zdarzały się czasem przerwy kiedy mróz przekraczał minus 50 stopni. Wtedy pozostawaliśmy w obozie, przeważnie jednak temperatura oscylowała około 50 stopni t.zn. 48, 49 i niestety nieubłaganie pędzili nas do lasu. W brygadach sowieckich był tylko jeden strażnik, natomiast każda brygada polska miała ich dwóch. Funkcje w obozach były du-

blowane, tak więc na czele obozu stał oficer NKWD z całym swoim aparatem strażniczym i administracyjnym, a wewnątrz obozu był jego odpowiednik z pośród zasądzonych z takimi samymi funkcjami i administracją jak na zewnątrz, a ci szczególnie gorliwie spełniali swoje funkcje i ewentualne zarządzenia. Mieli oni sporo kłopotów ze złodziejami, od których rożto się w każdym baraku. Kradli oni wszystko co się dało ukraść, najchętniej ubrania, buty czy bieliznę, a potem stroili się jak na bal czy na rewię mody, co często kończyło się bójką między nimi, ze względów ambicjonalnych, który z nich jest piękniej ubrany. Każdy z nas, po przybyciu do obozu miał jeszcze resztki eleganckiego ubrania lub obuwia, w warunkach zimy nie przydatnego. Byli i tacy, którzy posiadali jeszcze "jakimś cudem" / przeważnie żydzi/ kufry pełne ubrań i wartościowych przedmiotów. Nie było jednak możliwości przechowywania i zabezpieczenia tych "skarbów", ponieważ w baraku mieliśmy tylko gołe prycze, a kawałek drewna służył za poduszkę.

Pierwszego dnia nie dołączyłem do żadnej grupy idącej do lasu, a kiedy wszyscy wyszli wróciłem na prycze do spania. W niedługim czasie zjawił się naczelnik "San.Czaści" i gromkim głosem zapytał: "kto żdzieś dniowalnyj ..."? Wtedy ja wyskoczyłem z pryczy i oznajmiłem że to ja jestem, a ponieważ nie mam przyrządów do sprzątnienia barak nie jest sprzątnięty. Niezwłocznie zabrał mnie do magazynu i wyposażył w szczotki, ścierki i wiadra oraz przydzielił mi pomocnika, z którym zacząłem robić porządki w baraku. Funkcję tę pełniłem skrupulatnie przez kilka miesięcy, do czasu, kiedy jeden z Polaków doniósł naczelnikowi, że ja jestem II kategorii roboczej, a siedzę na funkcji inwalidzkiej. Praca w ciepłym baraku skończyła się musiałem pójść do lasu, gdzie trzeba było codziennie wyrębać minimum 6m. kubicznych drzewa na 100% normy co było bardzo trudno. Droga od baraku do miejsca wyrębu trwała ok. 2 godziny i wiodła przez olbrzymie, spadłe nocą zasypane śniegiem, droga powrotna zaś trwała dłużej, bo ściąganie drzew to morderczo ciężka praca ściągająca z nóg. Wlekliśmy je więc za sobą brnąc w zaspach śniegu po szyję. Jedyne pociechą w tych warunkach był fakt, że wyrabiałem, choć z wielkim wysiłkiem 100% normy za co otrzymywałem 100% niezbędego wyżywienia t.z. 900gr chleba i od czasu do czasu rybę najgorszej jakości. Opadałem z sił i chudłem, ponieważ praca wyczerpywała okrutnie. Jedyne możliwości wymiany produktów czy dokupienia w miejscowym sklepiku ratowała nas od zagłodzenia i śmierci.

To ogromne, obozowe mrowie ludzkie dzielone było na grupy etniczne chociaż oddzielić wszystkich od siebie było niemożliwe. Miałem więc sposobność obserwowania i poznawania przeróżnych zwyczajów, obyczajów i charakterów. A byli tam chyba ludzie z całego świata, poza amerykańskimi Indianami i afrykańskimi murzynami. Ludzie z krajów południowych czy republik radzieckich południowych nie odporni na mrozy umierali jak muchy. Było tam dużo Greków z Kaukazu, którym Stalin przyrzekł, że jeśli zgłoszą się na wyjazd do Grecji to zostaną tam odwiezieni. Tymczasem kiedy większość z nich zgłosiła chęć wyjazdu, podstawiono wagony i wiele transportów zamiast do Grecji skierowano na północ. Najwięcej było Ukraińców, których wywieziono w okresie kolektywizacji ponad 10 milionów. Dosłownie całe wsie ładowane były na wagony i wywożone na północ. To były te właśnie wymarte opustoszałe wioski, które widzieliśmy z pociągu jadąc z Winnicy do Charkowa.

W tej mieszaninie ludzkiej nie trudno było o antagonizmy i akty wrogości. Nas Polaków spotykało to szczególnie ze strony Ukraińców i Żydów, którzy schlebiali strażnikom wszelkimi donosami lub ordynarnie oskarżali nas. To właśnie w taki sposób i dzięki nim został za denuncjowany gen. Karaszewicz - Tokarzewski Dowódca A.K. na teren okupowany przez Sowieców. W obozie nosił On nazwisko dr. Mirowy i był lekarzem psychiatrą, pracował w obozowym szpitalu pod kierownictwem prawdziwego lekarza Polaka. Został wydany w marcu 1941 roku i odstawiony do Moskwy na Łubiankę, gdzie więziony był Gen. W. Anders. Kiedy obydwaj znaleźliśmy się w Armii Polskiej i przebywaliśmy w Pahlavi On przechadzając się po plaży w kąpielówkach dostrzegł mnie, podszedł i całując mnie serdecznie powiedział " Czy ty mnie pamiętasz z obozu, to ja jestem dr. Mirowy ". Naturalnie, już w obozie wiedziałem, że aresztowany dr. Mirowy jest naprawdę gen. Karaszewicz - Tokarzewskim. Wiele razy byłem jego gościem w generalskim namiocie w Iraku.

Po kilku tygodniach takiego wysiłku przy wyrębie drzewa, ja młody, zdrowy mężczyzna byłem tam zmęczony i wycieńczony, że nie pragnąłem niczego więcej jak tylko jakiegoś zdematerializowania się i wyrwania się z tej matni. W momencie ostatecznej rezygnacji przyszedł mi do głowy pomysł przekupienia " narańczyka ", któremu dałem moje

najlepsze ubranie: z prośbą o przeniesienie do lżejszej pracy, czyli do innej brygady. Już następnego dnia pracowałem blisko żony, tym razem jako "rozgruszczyk" / rozładowujący drzewo /. Pracując na "rozgruszcze" znalazłem się w dużej grupie Rosjan i po kilku tygodniach poczułem się tam zadowolony i przyjaźnie przyjęty. Większość z nich pracowała w obozie od kilku lat, tak że byli ze sobą zżyci i wzajemnie sobie pomagali. Od nich dowiedziałem się wiele o sowieckim "raju" i metodach NKWD / Nieznajesz Kagda Wiernisia Damoj /.

Nieodłącznym zjawiskiem obozowego życia była śmierć, która zbierała obfite żniwo. "Wołokusza" / coś w rodzaju sanek / chodziła na "kladbiszczce" / cmentarz / bez trumny, bez krzyża, tak prosto jak zwierzęta zakopywano ludzi w zaspach śniegu, a na tabliczkach były napisy np. "Iwan Iwanowicz Iwanow urodził się dnia..... m-ca.... roku..... zmarł dnia m-ca....roku..... przeżył lat.... zasądzony na 10 lat "Isprawitielnych Łagierej NKWD, odrabotał 5 let, ostałos do odrabotki eszczo 5 let.". Tam nawet po śmierci biedaka jeszcze nie był wolny. Umierało ludzi dużo i w różnym wieku, bo też ta ciężka praca wyciskała z ludzi ostatnie siły. Nie patrzono na wiek, zdrowie ani płeć. Wyrzucano ludzi poza zonę, a tam "stritok" popędzał nawet padających z wycieńczenia, a kto nie mógł się podnieść zwyczajnie był przez nich dobijany. "Wołokusza" kursowała bez przerwy zbierając zamarznięte zwłoki.

Sam byłem w sile wieku i po ciężkim kryzysie w pierwszych miesiącach pobytu w tym siarczystym mroźnym klimacie poczułem się nieco lepiej, a ponieważ byłem niepoprawnym optymistą. / tak nazywali mnie moi towarzysze niedoli / powtarzałem często, że niedługo wybuchnie wojna między Rosją a Niemcami, w co nikt nie chciał uwierzyć, tym bardziej, że wśród Rosjan nie wolno było mówić negatywnie o Niemcach. Tylko gen. Jakimienko był tego samego zdania. Rozmawialiśmy często na ten temat lecz zawsze mówiliśmy po polsku, ze względu na podsłuchy. Wiele razy opowiadał mi masę ciekawych historii z okresu przed Rewolucją i po Rewolucji, o swoich wspaniałych podróżach po świecie, tak że chłonałem każde Jego opowiadania. Grywałem z Nim i z wiałoma innymi partnerami w szachy i miałem opinie dość dobrego szachisty.

Z łagru pisałem listy do moich Rodziców i prosiłem o wiadomości oraz

paczkę żywnościową. Nie wszystkie listy pewnie do Nich dotarły, ale wreszcie przyszedły upragnione wiadomości, o tym, że wszyscy są zdrowi i jakoś się trzymają, a najważniejsze były o moich Braciach. Że starszy Apoloniusz wylizał się z ran odniesionych we wrześniu 1939, jako inwalida dostał koncesję na handel wódką, przyczym niezwłocznie wstąpił do A.K. i w punkcie sprzedaży była skrzynka kontaktowa, o czym dowiedziałem się już po wojnie. Co do młodszego Brata Karola Siostra napisała mi, że jest u Cioci Franusi co oznaczało, że Ona znajduje się we Francji. Listy z Domu były ogromną pociechą, podtrzymywały mnie na duchu, ale niektóre listy od moich przyjaciół podcinały wiarę w przetrwanie długiego pobytu na zesłaniu.

Jasnym promykiem tej gehenny była moja znajomość z Marusią, która dawała mi słowa pociechy, czasem coś do jedzenia czy trochę tytoniu, który najlepiej uspakajał moje nerwy. Marusia była nauczycielką z Kijowa, miała matkę Polkę ojca Ukraińca i znalazła się w obozie razem z nimi. zasądzonymi na 5 lat łagru. Przebywała tam od 4 lat, tak więc znała bardzo dobrze warunki i stosunki panujące w obozie, pracowała w biurze i mogła dać wiele dobrych rad, a nawet pomocy. Znała Ona doskonale polską literaturę, opowiadała pięknie treść przeczytanych książek, recytowała z talentem "Pana Tadeusza", tak że chwile spędzone z Nią były jakby duchową ucztą. W wolnych chwilach wpadała do mnie na pogawędkę, tak więc z czasem zrodziła się między nami przyjaźń wyjątkowo duchowa. O jakimkolwiek fizycznym zbliżeniu prosto nie było mowy, ludzie nawet młodzi, ale wycieńczeni i zabiedzeni nie mieli żadnych podniet fizycznych. A Marusia była pięknie zbudowaną blondynką o niebieskich oczach.....

Z czasem potworzyły się różne zespoły artystyczne oraz obozowa orkiestra, której koncertów obowiązkowo trzeba było słuchać. Wystawiane przedstawienia były na wysokim poziomie, jako że na zesłaniu było wiele utalentowanych ludzi. Polacy niechętnie brali udział w przedstawieniach z uwagi na nieznaną języka rosyjskiego. Natomiast podczas koncertów, marzyły się nam melodie Szopena i Moniuszki.

Pewnego dnia ktoś z kierownictwa zapytał mnie czy ja umiem coś z beńnarstwa. Nie liczyłem się z tym, że może kogoś takiego potrzebują, więc powiedziałem "kanieczno". I zaraz następnego dnia zostałem za-

brany z grupy " rozgruszczyków " i skierowany do stolarni, która mieściła się w zonie i kazali mi robić wiadra na wodę. Ja natomiast nie miałem o tym " zielonego pojęcia ", od czego mam zacząć, a " naradczyk " stał nad głową i czekał rezultatów. Kto swoich umiejętności nie pokazał wracał do brygady roboczej. A tu w stolarni ciepło i blisko kuchni. Z miejsca zacząłem udawać, kłuć i ciosać drewno na klepki. A przez ten czas patrzyłem na starszego jak on robi wiaderko. Gorzej było z robieniem beczek na wodę, ale i te trudności pokonałem i wkrótce zaopatrywaliśmy wszystkie obozy leżące w pobliżu w naczynia na wodę. Następnie pracowałem przy reperacji baraków, która odbywała się latem. Wtedy praca trwała 14 godzin na dobę, ale dzień był prawie 24 godziny.

Paczka jaką otrzymałem z Domu zawierała trochę tłuszczu, cukier i tytoń, który był prawie najważniejszy, ponieważ za tytoń można było kupić wszystko, co było możliwe do nabycia w warunkach obozowych. I tak upływały miesiące, praca ciężka była zapewniona i mieszkanie z utrzymaniem też. Złodzieje buszowali i kradli co tylko się dało. Pewnego razu złapałem opryszka w mojej kieszeni, gdzie były pieniądze zebrane na zakup dla całej brygady, ponieważ brygadier miał do mnie specjalne zaufanie, a swoim nie wierzył. Bezczelnego bandziora złapałem za rękę i z całą siłą wymierzyłem cios, który powalił Jego na ziemię i wtedy wystarczyły tylko nogi. Miało to miejsce w biurze, tam gdzie dawano talony na ubrania, buty, rękawice, czpki i t.p. Wszyscy mnie ostrzegali abym był ostrożny, ponieważ on należy do szajki bandytów i nikomu nie daruje, a baty dostał odemnie solidne. Na to ja odpowiedziałem, że niejeden taki sukinsyn jak on został przezemnie wysłany na cmentarz, chociaż nie było to prawdą, na wszelki wypadek broniłem się taką propagandą. Potym zajściu zostałem zaliczony do " błatnych " to znaczy uprzywilejowanych, a szef tej bandyckiej szajki wydał rozkaz " Zawilskiego nie trogaj " / nie dotykaj /. i od tego czasu byłem spokojny, a niektórzy z tych bandziorów kłaniali mi się " zdrastwujcie Zawilski ".

Praca w stolarni była dużo lżejsza niż w lesie czy na rozgruszcze, a przede wszystkim było ciepło i blisko kuchni, skąd od czasu do czasu można było dostać więcej zupy. W obozie głośniki nadawały codziennie wiadomości " ze świata " oraz informacje, która brygada została zaliczona do systemu Stachanowa. Wtedy pod koniec godzin pracy obozowa or-

kietra wychodziła na spotkanie zwycięskiej brygady i z muzyką wprowadzała do obozu. A naczelnik zatrzymywał wykończonych biedaków i składał im gratulacje, oraz dawał im talony na zakupienie jednej porcji gulaszu ze zdechłego konia.

W pamiętnym dniu 22 czerwca 1941 roku przerwano normalną audycję aby nadać specjalną informację. Brzmiąca ona: " W dniu dzisiejszym wczesnym rankiem wojska niemieckie zaatakowały nasz Kraj półkój miłujący Związek Radziecki ". Cóż to była za radość dla nas, a szczególnie dla mnie, ponieważ wielokrotnie przepowiadałem wybuch konfliktu wojennego pomiędzy tymi sprzymieźcami. Moi Przyjaciele Rosjanie nie mogli się nadziwić, że to się sprawdziło, bowiem podczas naszych dyskusji przestrzegali mnie o niemożliwości takiej sytuacji. Tak więc w Ich oczach urosłem do rozmiarów polityka - czarnoksiężnika.

Radość w obozie była tak wielka, a zwłaszcza wśród Polaków, że tej nocy nikt z nas nie spał, a że był to czerwiec i noce białe, to biegaliśmy od baraku do baraku i wzajemnie sobie gratulowaliśmy. Następnego dnia przemawiał sam " Atiec Stalin " do Narodu Rosyjskiego nawołując do walki zbrojnej z Niemcami. Codziennie mieliśmy wiadomości frontowe / conajmniej z 3 dniowym opóźnieniem / o sukcesach niemieckich, którzy posuwali się w głąb Ukrainy, Białorusi i Krajach Bałtyckich w szybkim tempie. Autor Paktu Ribbentrop - Mołotow Mołotow został usunięty, a na jego miejsce powołany Wyszyński. Wojna Rosji z Niemcami przyniosła nam radość, a równocześnie smutek i niepokój o nasze życie, ponieważ nasze racje chleba zostały zmniejszone o 20% a inne produkty znikły zupełnie w ciągu 1-go tygodnia. Niedługo potem przemawiał minister spraw zagranicznych Wyszyński i zapowiedział szybkie zwolnienie wszystkich Polaków w związku z powstającą na terenie ZSRR Armią Polską, co wzbudziło w nas nadzieję, że nastąpi to natychmiast. Niestety, tak się nie stało, gdyż dopiero 21 sierpnia pierwsza, największa grupa Polaków została zwolniona z naszego obozu. Następna grupa, nieco mniejsza, 4 tygodnie później. A ja wciąż ciężko pracuję. Od wybuchu wojny niemiecko - sowieckiej mieliśmy tylko jeden dzień w miesiącu wolny od pracy. Poprzednio dzień wolny był co dziesięć dni.

Minął wrzesień, październik, skończyło się zwalnianie Polaków do wojska. Komendant obozu zapowiedział, że ci którzy mieli być zwolnieni, są już na wolności, a reszta zostaje na miejscu i musi pracować jeszcze więcej niż poprzednio, ponieważ "strana trebujet les". Była nas jeszcze spora grupa Polaków. Pewnego dnia po zakończeniu pracy udałem się do biura naczelnika z zapytaniem: "dlaczego mnie nie zwolnił, przecież jestem wojskowym". On odrzekł mi arogancko "po matuszki", więc ja do niego podobnie i pewnie doszło by do rękoczynów, gdyby nie wezwany "nadzienatel", który zabrał mnie do karceru, gdzie znów dostałem tylko 300gr chleba i raz w ciągu doby gorącą wodę. Schudłem do tego stopnia, że oczy moje zapadały się coraz głębiej i coraz ciężiej się potuszałem, został ze mnie cięcizłowiek. W karcerze biegały szczury wielkości kotów. Trzeba było bardzo uważać aby nie odgryzły uszu czy też nosa, a takie wypadki zdarzały się.

Moja kochana Marusia była już na wolności, tak że nie miałem żadnej przyjacielskiej duszy. Wśród Rosjan było kilku życzliwych mi ludzi ale i oni musieli być bardzo ostrożni i nie ujawniać kontaktów z Polakami, a szczególnie ze mną. Po wypuszczeniu mnie z karceru zapędzili mnie do brygady "warow" / złodziei/, gdzie spotkałem opryszka, którego zbiłem "na kwaśne jabłko". Już pierwszego dnia postawił się do mnie, w nadziei, że ma za sobą całą swoją brygadę. A ja byłem tak wykończony fizycznie i psychicznie, że było mi zupełnie wszystko jedno, czy ja będę żył, czy skończy się wkrótce moja gehenna. Zaatakowany przez niego odruchowo chwyciłem za siekierę i byłbym przeciął jemu głowę na połowę gdyby nie brygadier, który od tyłu chwycił za siekierę i udaremnił ten śmiertelny cios. Zaraz też powiedział "nie dotykać Zawilskiego, to porządny człowiek". Ja ze swej strony jeszcze raz się pochwaliłem, że niejednego już zamordowałem, co przecież nie było prawdą, ale musiałem wyrobić sobie prestiż w tej gromadzie wręcz dzikusów. Od tego czasu "współzycie" z nimi układało się poprawnie, a nawet w przypływie sympatii złodzieje dzielili się ze mną lagierną zdobyczą w postaci żywności. A naczelnik "SAN.CZASCI" przydzielił mi dodatek witaminowy przeciw skorbutowi składający się z listka zgniłej kapusty, głowy od śledzia lub kawałka cebuli. W ten sposób uratowałem moje zęby. W tej złodziejskiej brygadzie był jeszcze jeden Polak starsz. Pan z zawodu i funkcji sędziego okręgowy ze Lwowa, którego popychali do najcięższych robót, których on nie był

w stanie wykonać, odpędzali jego od ogniska, zabierali żywność, bili i popychali biedaka. On widział, że zdobyłem sobie mir wśród bandziorów i przychodziłem Jemu z pomocą, toteż zbliżył się do mnie i polegał na mojej opiece i obronie. Na moją interwencję brygadier przydzielił Jemu łopatę i miotłę do oczyszczania szyn kolejowych, co było znacznie lżejsze niż noszenie ciężkich kłoców drewna.

19 listopada wieczorem, po zakończeniu pracy marzyłem o zdobyciu dodatkowej zupy lub porcji chleba, co przygotować chciałem na następną dzień 20-go t.j. pierwszy i jeden w miesiącu dzień wolny od pracy, który często spędzałem z sędzią i wtedy jemu dawałem część zdobytej żywności. I nagle 19-go wieczorem przszła niespodzianka. "Naradczyk" zjawił się w baraku i gromkim głosem oznajmił: "Zawilski stupaj w kantoru razczytowatsia". Wtedy sędzia powiedział do mnie "Panie Zawilski po jutrze ja już żyć nie będę..." i podobno istotnie tak się stało. Bandyci z którym pracował zamordowali jego.

Zanim opuściłem bramy obozu musiałem rozliczyć się z przedmiotów przydzielonych mi do użytku w obozie, z czym miałem nielada problem ponieważ wszystko sprzedałem - wymieniłem na tytoń i chleb. Zwróciłem nic, a za resztę podpisałem rachunek na 40 rubli, które powinienem zwrócić. Tak zostałem podsumowany po kilkunastu miesiącach pracy lagiernej NKWD. Każdemu zwalnianemu zabierano nowe kazonne odzienia, a dawano stare połatane. Dlatego zwlekałem z przejściem przez wachtę do ostatnie chwili, a gdy pociąg do Jercewa był już pod parą, wywołany z nazwiska przez strażników, przebiegłem galopem do wagonu i tak uratowałem swój nowy buszłak i worek z kociołkiem i drewnianą łyżką. Do Jercewa jechaliśmy jeszcze pod eskortą, ale "stritok" tytułował nas już "towariszcz" i dawał nam kuriszki do popalenia. Po kilku godzinach jazdy pociąg zatrzymał się w Jercewo, gdzie zaprowadzono nas do obozu dla zwalnających się, gdyż tam znajdowała się administracja dla wszystkich okolicznych obozów.

Tam mogliśmy poruszać się swobodnie, co było okazją do spotkań wielu kolegów z poprzednich więzień i obozów. Radość nasza z wolności była pozorna, ponieważ długotrwała fizyczna i psychiczna udręka osłabiła nas tak dalece, że nie byliśmy w stanie uwierzyć, że NKWD może dobrowolnie nas zwolnić, podskórny lęk brał górę nad rzeczywistością.

Dopiero po całodziennym odpoczynku i podwójnej porcji zupy z kawałkiem chleba poczułem się silniejszy i zacząłem się udzielać towarzysko. Tam właśnie spotkałem Mariana, kolegę z celi więziennej w Winnicy, z którym postanowiliśmy trzymać się razem w dalszej wędrówce. W pierwszej chwili nie poznałem Jego, bowiem z pięknego, młodego człowieka w Winnicy został tylko cień i wyglądał podobnie jak ja na 50-letniego Cherlaka. Tego dnia wieczorem wywoływano nas i wręczano " udostowierenia " - / zaświadczenia o obywatelstwie polskim i tożsamości nazwiska, oraz pozwolenie na poruszanie się na terenie Związku Radzieckiego/ w naszym przypadku na Syberii, mnie osobiście skierowano do Omska. Na podstawie tego dokumentu można było kupować 400gr chleba dziennie i bezpłatnie korzystać z łaźni, wozobojki i przejazdów kolejowych. Wydano nam po 40 r bli na głowę i pozwolono kupić jednorazowo po 4 kg. chleba i 1 kg. śledzi. Po otrzymaniu tak dużej ilości chleba zacząłem " ucztę " od śledzi, których w obozie nigdy nie było. Zacząłem więc od głowy i skończyłem na ogonie włącznie ze szkieletem. Zjadłem 2 śledzie i przynajmniej ze 2kg chleba, po spożyciu których piłem niesamowite ilości wody, toteż wkrótce byłem tak ociężały, że nie miałem siły dojść do stacji kolejowej, położonej ok. 1km. od obozu. Pociąg był przepelniony przeważnie kobietami jadącymi do miasta Wołogdy oraz takimi łagiernikami jak my, którzy jechali również z obozów. W tłumie podróżnych z trudem znalazłem wolne miejsce i pod wpływem ciepła zapadłem w głęboki sen. Po przebudzeniu poczułem się głodny i to skłoniło mnie do wymiany śledzi na ser, jaki posiadały kobiety. One uradowane przyjęły śledzie dawno nie widziane w ich okolicy.

Po kilkunastu godzinach dotarliśmy do miasta Wołogda. Był to koniec listopada, ale mrozy tamtego roku były straszliwe, a wobec braku ciepłej odzieży ciągle musieliśmy zwracać uwagę na nos i uszy czy jeszcze trzymają się twarzy i głowy. Zziębnięci, skostniaли, udaliśmy się biegiem do miasta, aby zjeść gorący posiłek. Znaleźliśmy elegancką restaurację, z odzwiertnym wygalowanym w szynel ze złotymi guzikami i lampasami na spodniach. Ten spojrział na nas z niedowierzaniem, że my chcemy wejść do środka. Zagroził nam drogę i oznajmił, że jesteśmy " nie charaszo odietyj ". Wskazał nam jednak palcem kierunek do " obszczaja stałowaja " - / miejska stołówka /, gdzie kolejka była na kilkaset metrów. Nie mieliśmy siły ani ochoty stać na mrozie, a

że mieliśmy wyostrzony instynkt zachowawczy zmuszający do przebijania się w każdej sytuacji, weszliśmy na czoło długiej kolejki i przy otwarciu drzwi znaleźliśmy się pierwsi w środku. Szatniarz zabrał od nas buszłaki, po zdjęciu których zostaliśmy tylko w łagiernych koszulach z dużymi dekolantami. Gdy zajęliśmy miejsca przy stole podeszła do nas przystojna kelnerka i uprzejmie poinformowała, że możemy zjeść tyle obiadów ile sobie życzymy. W międzyczasie przysiadły się do nas dwie b. elegancko ubrane kobiety, a ponieważ my mówiliśmy między sobą po rosyjsku, nie wiedziały, że jesteśmy Polakami. Zaczęły opowiadać o swoim losie i pomocy Polaków dzięki którym one ocalały. Do każdego obiadu podawano 300gr chleba, toteż po zjedzeniu 4-ch obiadów mieliśmy jeszcze zapas chleba, a nasze przygodne towarzyszki również podarowały nam swój chleb. Po zakończeniu 4-go obiadu podszedł do nas staruszek z rasową, długą siwą brodą i zapytał " Grażdanin! Kagda wy kuszali "? Na co ja odpowiedziałem " dwa goda temu nazad ". Marian kopnął mnie w kostkę pod stołem przypominając, że jesteśmy dopiero 300km od obozu i że On nie chce już tam wracać...

Transport z Wołogdy wlokł się powoli, ponieważ pierwszeństwo miały transporty wojskowe. Jechaliśmy w kierunku na Niżnyj Gorod, a potem Kirów, który jest jedną z największych stacji węzłowych w Związku Radzieckim. Tę noc po 4-ch obiadach ciężko przechorowałem, o mało się nie wykończyłem. Przez następne kilka dni jadłem tylko suchary i piłem " ruskiej czaraj ", a potem już jadłem względnie nie dużo i częściej, a następnie wszystko się uregulowało.

Na jednej ze stacji udałem się do sklepiku po zakup chleba, a tym czasem mój transport, a w nim mój przeziły Kolega, odjechał. Dla nadrobienia straty czasu bez namysłu wskoczyłem do odjeżdżającego innego pociągu, tym razem osobowego, gdzie spotkała mnie straszna niespodzianka. Pociąg przepełniony był wyłącznie oficerami, z których jeden chwycił mnie gwałtownie za kark i zanim cokolwiek zdążyłem bąknąć skąd i kto jestem otworzył drzwi wagonu kopnął mnie w d... i krzyknął " eto Stalinskoj pojezd ", co oznaczało, że sam " Bóg Stalin " jedzie tym pociągiem. Chociaż pociąg był w pełnym biegu, potoczyłem się jak worek kartofli i wpadłem w przeogromne zasypy śniegu, które uratowały mi życie. Pomyślałem wtedy, że jest jakaś opatrzność, która i naśm mą czuwa i nieco obolały i zszokowany powlokłem się z powrotem na tę samą stację. Po drodze napotka-

łem osiedle, gdzie był mały sklepik, w którym kupiłem chleb, cukier i tytoń, co było rzadkością do nabycia na rosyjskiej wsi. Po przybyciu na stację napotkałem transport polskich rodzin, które wracały z północy, z przesiedlenia i mieli ze sobą dużo żywności. Wagony były towarowe ale zaopatrzone w piecyki i półki do spania lub siedzenia. Za zgodą komendanta pociągu mogłem podróżować z nimi, co było wtedy luksusem z uwagi na trzaskające mrozy i wichury. W wagonie poznałem Panią Zakrzewską jadącą z córką, zięciem i wnuczką, która zaczęła ze mną rozmowę od pytania czy nie spotkałem w obozie nazwiska Zakrzewscy, od dawna nie miała wiadomości o swoich 2-ech synach. Byłem szczęśliwy, że mogłem uspokoić stroskaną matkę informacją, że są cali i zdrowi, że zwolnieni byli z obozu razem ze mną i że znajdują się w transporcie jadącym przed nami, do którego ja się spóźniłem. Ludzie wędrowali całymi tygodniami, ponieważ transporty wlokły się żółwim krokiem, a często prosto odstawiano na bocznicę gdzie stały nawet kilka dni. W takich warunkach nie trudno było o sprzeczki i walkę o wszystko, bo często było to ceną jaką płacono się za życie. Nadmiernie gromadzona żywność przez przezornych podróżnych często była przedmiotem tej walki, chociaż wskutek długiego przechowywania jej pleśniała i była wyrzucana. Ale takie były czasy, że każdy myślał tylko o sobie i rzadko kiedy podzielił się posiadaną żywnością. Ja natomiast, kiedykolwiek pociąg się zatrzymał zbierałem spleśniałe, zamrożone kawałki mięsa i chleba i ze "smakiem" zjadałem i nie miałem żadnych żołądkowych problemów. Nawet odwrotnie, po kilku dniach poczułem się silniejszy i zacząłem dostrzegać przystojne dziewczęta, które były w naszym wagonie. Jedną z nich dała mi w prezencie szkalną gumkę do wycierania, która bardzo, bardzo mi się przydała. Wracając do spleśniałej żywności okazało się, że z spleśni zaczęto produkować penicilinę, a dodatkowo jej skutki odczułem sam na sobie. Jedyne dwoje młodych ludzi, młode małżeństwo z córeczką, również zabiedzeli jak ja dzielili się ze mną wszystkim co posiadali, a ze specjalnym wzruszeniem wspominam pyszną kartoflaną zupkę gotowaną przez młodą mamę.

I tak właśnie dotarłem do Niżnyj Gorod, gdzie postanowiłem zmienić pociąg by szybciej dotrzeć do punktu werbującego żołnierzy do Armii polskiej. Zaraz też udałem się do miasta i tam napotkałem piekarnię w której sprzedawano piękny biały chleb po 2 kg. bochenek +

kawałek za 5 rubli. A ja miałem tylko 38 kopiejek pozostałości z obozowej wypłaty. Niesamowicie głodny i zmęczony wlokłem się bez celu, gdy na drodze spotkałem staruszkę i nieśmiało zaproponowałem jemu kupienie kałesonów, które udało mi się wywieźć z łagru. On zapłacił mi za nie, bez targowania, 10 rubli i to była jedna z najlepszych transakcji w moim dotychczasowym życiu. Za otrzymane ruble kupiłem, dwa razy obracając, 2 bochenki + dwa kawałki chleba, z czego dwa kawałki zjadłem wóka mgnienu, a dwa bochenki sprzedałem na rynku po 30 rubli za każdy. Udało mi się to jeszcze kilka razy dzięki otrzymanej gumce od panienki z pociągu. Prosto wycierałem datę z dokumentu, na którym sprzedawczyni odnotowywała sprzedaż chleba. I tak obróciłem kilka razy, po których miałem spory zapas chleba w łagiernym worku i trochę rubli w kieszeni. Następnie wróciłem na stację kolejową i tym razem udało mi się dostać do pociągu osobowego, którym pojechałem do Swierdłowska. Tam zatrzymałem się tylko jeden dzień, ponieważ okrutny mróz paraliżował poruszanie się. Ze Swierdłowska udałem się do Czelabińska i znalazłem naszą polską placówkę wojskową, która miała opiekować się łagiernikami. Tam zamiast spodziewanej troskliwości i pomocy zostałem objechany przez rotmistrza, za to, że zatytułowałem jego kapitanem / a nie miał oznak rotmistrza / oraz za to, że tak późno melduję swoje przybycie do placówki. Zdziwiony odpowiedziałem, że nie czuję się spóźniony, bowiem mnóstwo Polaków jest w obozach na Północy, a zwolnienie moje zależne było wyłącznie od NKWD.

Po załatwieniu formalności otrzymałem dokumenty "wojenno obowiązyj", na podstawie czego miałem prawo zakupić 700gr chleba jednorazowo i możliwości kupowania w sklepach wojskowych, jadań w kasynach wojskowych sowieckich. Otrzymałem również "naprawienieja" do Polskich Sił Zbrojnych stacjonowanych w Buzutuku koło Kujbyszewa na Syberii. Dokument wystawiony był na moje nazwisko Czesław Zawilski + 5 i podpisany przez rotmistrza z pieczęcią polską i rosyjską. Dostałem także 150 rubli wyłącznie dla mnie i przydzielono mi 5 osób, którymi miałem się opiekować w podróży do Buzutuku. W tej piątce był staruszek Generał Radziwiłowicz wraz z dość jeszcze młodą Jego Małżonką. Jako generał On dostał przydział w I klasie / miakie wagony / ale żona Jego dostała przydział razem z nami. Jako komendant tej grupki zajęłem cały przedział, a jako żołnierz polski / chociaż jeszcze w łagiernych łachmanach / czułem się przejęty swoją ro-

lq, odpowiedzialnego za dostarczenie tej grupki do Buzutuku. Żona Generała była bardzo pomocna w podróży, dzieliła sprawiedliwie dostarczany przeze mnie prowiant. I tak dojechaliśmy do Czekałowa / dawniej Orenburg / i wszystko grało " jak w rosyjskim zegarku ". Siedzieliśmy wszyscy w wagonach, nikt nie wysuwał nosa nazewnątrz bo był wtedy trzaskający mróz / ponad 50 stopni / i straszna wichura.

W Czekałowie trzeba było przesiąść się na inny pociąg jadący do Buzutuku, ale przedtym musieliśmy zameldować się w polskiej komendzie na stacji kolejowej, a szefem jej był pułkownik. Po zameldowaniu się, okazaniu dokumentów, oraz przedstawieniu Generała i Jego Żony pułkownik wystąpił Ich oboje do Buzutuku, a mnie kazał wydać bilet na moje nazwisko + 50 osób samych wojskowych ze skierowaniem do Dżambulu w Uzbekistania, gdzie rzekomo miał się znajdować punkt organizacji Polskiej Armii. Po otrzymaniu dokumentów i pieniędzy zorganizowaliśmy cały oddział do przeznaczonego specjalnie dla nas wagonu osobowego. Po przybyciu na miejsce okazało się, że Wojska Polskiego jeszcze tam niema, a była tylko placówka, która rozsyłała przybyłych tam Polaków - tułaczy do pobliskich kołchozów, a stamtąd dopiero mieli być powoływani do wojska. Polaków przelewało się przez miasto mnóstwo. Obszarpani, wychudli, zabiedzeni do ostateczności, przybywając rzekomo do wojska, rozczarowani, nie wiedzieli co dalej począć i dokąd się udać. Większość więc biernie kierowała się tam, gdzie czekała na nich w dalszym ciągu ciężka praca i kawałek gliniastego chleba. Był to okres Bożego Narodzenia 1941 roku, ale nazewnątrz było już dość ciepło, tak że można było się rozebrać, oczyścić z nękającego wciąż robactwa i umyć jeśli się komuś udało.

Ja w Dżambule udałem się najpierw do polskiej placówki, gdzie otrzymałem pomoc w postaci talonów na żywność, którą zakupiłem i rozdzieliłem pomiędzy przybyłych ze mną " ochotników " do wojska. Ponieważ miałem za sobą ciężki " staż " pod kierownictwem sowieckim w łagrze, nawet chwili nie wahałem się czy pójść do kołchozu, czy wracać z powrotem. Towarzyszy niedoli poinformowałem, że wobec takiej niespodzianki mają wolną rękę, no a kto jest chętny wracać ze mną. Część z nich natychmiast się zdecydowała, następnie przybyła na stację kolejową duża grupa zawiedzionych kandydatów na żołnierzy, gotowych

również powracać do Czekatowa. Dokument na zakup żywności miałem, za kupiłem więc odpowiednią ilość biletów kolejowych i udaliśmy się w drogę powrotną, z zamiarem dotarcia do Kaganu, który był węzłową stacją i podjęcia decyzji tam co do dalszego kierunku podróży. W Kaganie spotkałem transport wojskowy, a mając "naprawienie" dogadałem się z jego komendantem, który zabrał nas ponownie do Czekatowa. Część ludzi z mojego transportu została również w Czekatowie, a ja zostawiwszy w Kaganie moich dwóch Kolegów ponownie powróciłem do Kaganu, aby następnie udać się do Kitabu, który miał być punktem zbornym organizującej się Armii Polskiej. Każdy z nas chciał dotrzeć do Wojska jak najszybciej, korzystaliśmy więc z każdej informacji, chociaż nie wszystkie były zgodne z prawdą. Podczas tej trochę błędnej wędrówki spotkałem w pociągu młodą, przystojną pannę z Beresteczka, czyli z moich stron, toteż szybko znalazłem z nią wspólny język. Ona też, zagubiona jak błędna owca, postanowiła dołączyć do nas, aby udać się do Armii Polskiej. A więc było nas 5-ro, a że ja byłem w wieku najbardziej zbliżonym do Niej, najwięcej się Panienką zajmowałem. Pozostali towarzysze to dwaj starsi osadnicy i dwóch moich Kolegów, których wspominałem powyżej. Jednym z najbliższych był mi Białorusin z Wilna, wspaniały, pięknie zbudowany, mądry i ogromnie dobry młody człowiek. Na podstawie zastyszanej od wędrujących Polaków informacji o mającym się zorganizowaniu Oddziałów Polskich w Aszhabadzie opuściliśmy Kagan i udaliśmy się tam pociągiem, skąd trzeba było płynąć statkiem na południe rzeką Amudarią. Plan ten uznaliśmy za realny, byliśmy młodzi, trochę może naiwni i nie straszna była dla nas taka wściepła, pachnąca niewiadomą i niebezpieczeństwem, ale tym bardziej pociągająca. Na niespodziankę tego rodzaju, nie czekaliśmy długo, nie wiedzieliśmy bowiem, że znajdujemy się w strefie zakazanej nie tylko dla nas Polaków, ale również dla Rosjan, nie mających przepustek. W mgnieniu oka oceniłem sytuację, poradziłem moim towarzyszom rozprószyć się, a sam wziąłem dziewczynę pod rękę udałem się na posterunek policji, z zapytaniem, czy nie nadeszły do miasta jakiegokolwiek transporty z ludnością polską, ponieważ my / udając małżeństwo / zagubiliśmy w podróży nasze dzieci. Odpowiedzieli nam nawet b. grzecznie, że żadne transporty nie nadeszły, że jest to teren dla nas zakazany i w związku z tym musimy opuścić ten rejon w ciągu 24 godzin. Niezwłocznie udaliśmy się na stację, gdzie mieli krążyć nasi towarzysze niedoli, ale czekało na nas tylko dwóch moich Przyjaciół, natomiast pozostali dwaj gdzieś się zawieruszyli razem z naszymi workami, w których było trochę

chleba i tytoniu, co stanowiło jedyny nasz majątek. Na szczęście mieliśmy przy sobie trochę pieniędzy, zaszytych w marynarkach. Już w drodze powrotnej do Kaganu poczułem silne bóle głowy i wysoką temperaturę. Pannę Krysię poleciłem opiece mojego Kolegi, a sam udałem się do lekarza, który, po zbadaniu, niezwłocznie skierował mnie do szpitala w Czkałowie. Ja natomiast bardzo chciałem jechać do Kitabu, ponieważ w sąsiedniej miejscowości mieszkała Krystyna ze swoją Matką. Mój Przyjaciel miał "naprawienie" do Kitabu, wobec czego zamieniliśmy nasze naprawienia i od tego czasu nazywałem się Borys Iwanowicz Iwanow. Podróż do Kitabu trwała prawie 24 godziny, a ja miałem coraz większą temperaturę i opadałem z sił. Gdy dotarliśmy do Kitabu okazało się, że szpital, do którego byłem skierowany położony jest ok. 4km od miasta. Doprawdy nie wiem co by się ze mną stało, gdyby nie pomoc Borysa. Już przy Jego pomocy wlokłem nogi za sobą, wręcz staniałem się i tylko Jemu zawdzięczam to, że ja dzisiaj jeszcze żyję. Pogoda była straszna, zacinający strumieniami deszczu wiatr, przenikliwe zimno wstrząsało moim nędznym ciałem i u kresu wędrówki już zupełnie nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Borys oddał mnie w ręce lekarza na izbie przyjęć i odszedł. Byłem tak chory i oszołomiony że nie byłem w stanie wyszeptać dla niego słowa podziękowania. Jeszcze raz stojąc w drzwiach odwrócił się do mnie i skinął przyjacielską ręką i nigdy więcej już Jego nie spotkałem, chociaż nawet po wojnie czyniłem wysiłki aby Jego odnaleźć.

Mnie natomiast wrzucono do łóżka, które było opróżnione przez zmarłego kilka minut temu. Przedtym musiałem iść pod zimny prysznic, bo ciepłej wody nie było i tak bez zmiany pościeli i cieplejszego przykrycia ległem na stygnącym po zmarłym łóżku. W izbie przyjęć czekało jeszcze wielu chorych, na łóżka, z których uprzątam zmarłych, Gdy się wokół rozejrzałem poczułem się szczęśliwy i pomyślałem, że pewnie jestem ciężko chory skoro leżę na łóżku, bo okazało się, że na tej ogromnej, długiej sali leżą ludzie bez materaców, wręcz na gołej ziemi. Sam budynek trudno nawet nazwać szpitalem, ponieważ był to ledwie sklecony drewniany barak, bez żadnych urządzeń sanitarnych, zresztą "na miarę" "miasta", które było skupiskiem lepiarek. Obsada szpitala składała się wyłącznie z kobiet, które bez zmiany godzin pracowały ciężko, spełniały ponad siły wszystkie czynności, włącznie z wynoszeniem zmarłych.

Ja byłem bardzo ciężko chory, temperatura dochodziła do 42 stopni, byłem na pół przytomny, ale ponad wszystko pamiętałem, że jestem w szpitalu pod obcym nazwiskiem. Miałem różne majaczenia, które nawet do dzisiaj pamiętam. Kryzys trwał kilka dni, temperatura trzymała wysoka, środków medycznych nie było żadnych. Tylko dzięki temu, że byłem młody i silny wykaraskałem się z tyfusu szczęśliwie. Lekarze uznali mnie za szczególny przypadek odporności i dzięki temu w tych prymitywnych warunkach znalazłem się wśród kandydatów na wojaków. Po 3 dniach temperatura opadła i poczułem wilczy apetyt. Mimo posiadanych pieniędzy nie wolno mi było kupić żywności we własnym zakresie, a przydzielane 300gr chleba i miska sojowej zupy była dla mnie jak "mucha" dla psa. Dlatego też zażądałem wypisania mnie ze szpitala, chociaż lekarz poinformował mnie, że najgorsze minęło, ale w dalszym ciągu jestem bardzo chory i niezdolny do poruszania się, że jej nie wolno zwolnić mnie ze szpitala. A ja uparłem się, i kłamałem, że mam w Jakubaku rodzinę i tam będę wypoczywał, chociaż tam mieszkała tylko znajoma Panna Krysia. Na usilne moje nalegania zostałem zwolniony. Zabrawszy mój tobołek udałem się na stację, do której, noga za nogą wlokłem się kilka godzin. Deszcz siąpił i zimno przeszywało mnie na wskroś, nie miałem zupełnie energii i tylko nadludzkim wysiłkiem, o zmroku, dotarłem do stacji. Pociągi z Kitabu do Jakubaku chodziły co drugi, a tego dnia rankiem pociąg już odszedł. Nie miałem gdzie się podziąć, rad nie rad zatrzymałem się na stacji i noc spędziłem w poczekalni na ławce.

Gdy rankiem rozejrzałem się i pogadałem z ludźmi dowiedziałem się, że kilka kilometrów od Kitabu jest miejscowość Schareziab i tam mieści się komisja poborowa i punkt zborny artylerii. Gdy się tam dowlokłem, zostałem natychmiast przyjęty do wojska, ale ze względu na przebytą chorobę nadbyłem 3-tygodniową kwarantannę. Po kwarantannie zostałem wysłany do 7 Dywizji w miejscowości Kermine w Kazachstanie, gdzie otrzymałem przydział do 7 PAL-u, a stamtąd do Szkoły Podchorążych Artylerii w Kar-su w Uzbekistanie. Ze Szkołą Podchorążych wyjechałem na Środkowy Wschód, ale dzieje powstającej Armii Polskiej na Wschodzie i II Korpusu, są opisane dokładnie przez wielu publicystów.

Moje wspomnienia są raczej relacją z pobytu w trudnych do opisanego warunkach jakże były w więzieniach i na katordze, nie opisałem tysięcy drobnych przeżyć i własnych uczuć, tam instynkt przetrwania był najważniejszy, dlatego każdy dzień zaczynałem słowami "chleba naszego, daj nam....."

Wspomnienia moje opisałem tuż po wojnie i obejmują one ok. 350 stron rękopisu i maszynopisu samych faktów z okresu od 1-go września 1939r przez więzienia i zsyłkę, Szkołę Podchorążych, Srodkowy Wschód, Palestynę, Egipt i walki II Korpusu we Włoszech, aż do ich zakończenia pod Bolonią w dniu 5 maja 1945 roku. "Wspomnienia zesańca" ze względu na objętość opisałem w dużym skrócie.

Mój "skromny" dorobek żołnierski to posiadane odznaczenia: Krzyż Virtuti Military V Kl., Krzyż Walecznych, Krzyż za Wolność i Niepodległość, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Krzyż Zasługi, Medal Wojska Polskiego, Krzyż Monte Cassino, Krzyż Września 1939, Srebrny Krzyż Polski Walczącej, Złota Odznaka S.P.K. i wiele innych angielskich odznaczeń.

opracowała:

Helena Rosińska

San Mateo, 30 grudnia 1989

Czesław Zawilski

Czesław Zawilski
Kpt. Artlerii

P.S. Przy okazji zwracam się do Kolegów zbierających informacje, może znajdą się byli zesańcy z okręgu Jercewo łagier 232, których proszę o skontaktowanie się ze mną.